

Lidia Burska

Ten wspaniały mężczyzna od bezkompromisowej krytyki

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (25), 93-97

1994

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

świadomość, okaleczoną wyobraźnię. Chodzi więc o przywrócenie normalności; nie jest bowiem normalne to, że najmłodszy zamiast przeżywać historię dzielnego królewicza bądź wyobrażać sobie obecność złotego lisa zauroczeni są murarzami, MDM-em czy Świętem Rewolucji i Moskwą. Pytanie niezdecydowanej matki: „czy my musimy odbierać dzieciom prawo do fantazjowania?” — jest zatem wyzwaniem rzuconym systemowi, doktrynie, która doprowadziła do unicestwienia pewnych obszarów ludzkiej świadomości. W centrum zagadnienia staje oczywiście deprawacja dziecięcej psychiki i eliminowanie z niej elementarnych dla tego wieku procesów myślowych; pozbawianie najmłodszych możliwości fantazjowania i kreowania własnego świata jest zgubne dla ich wyobraźni. Skutki takiego wychowania są nad wyraz tragiczne: dzieci z bajki Harasymowicza, Emilka, Grześ czy Krzysztof z opowiadania Andrzejewskiego — to jakże godne pożałowania ofiary proletariackiej pedologii. Ale na szczęście i takie „najbardziej obłąkane czarodziejskie bajki” mają swój koniec.

Mariusz Zawodniak

Ten wspaniały mężczyzna od bezkompromisowej krytyki

Dziedziniec strusich samic jest książką prowokacyjną.¹

Niewinnie anonsowane w podtytule „kilka uwag o życiu umysłowym w Polsce” to w istocie sąd nad intelektualistami, rozrachunek z opozycją, zwłaszcza tą gromadną z lat osiemdziesiątych, choć nie tylko. Rafał Grupiński, autor zjadliwych polemik, znanych już z wcześniejszych publikacji w pismach niezależnych, jest krytykiem (czy raczej pamflicistą) totalnym. Pisze o wszystkim: o psychologii i aksjologii, socjologii i wylbrzymionej martyrologii, polityce i etyce, kulturze i literaturze. Lecz przede wszystkim pisze o „Pinie”, czyli polskim intelektualistacie, odpowiedzialnym za stan etyki i styl polityki, obraz literatury i niedowład kultury. I tak dalej.

Dwu cech Rafałowi Grupińskiemu odmówić nie sposób: odwagi cywilnej oraz polemicznej zadziorności i pewności siebie. Występuje wszak przeciw poważanym autorytetom własnego środowiska, byłej opozycji,

¹ R. Grupiński *Dziedziniec strusich samic. Kilka uwag o życiu umysłowym w Polsce*, Poznań 1992, Obserwator.

co nie jest łatwe. W walce tej jest, a raczej był osamotniony (jeśli pojawiały się krytyki — to nigdy tak zażarte, tak „totalne”). Polemiki Grupińskiego znacznie wyprzedzają ataki Lecha Wałęsy na „jajogłowych” i pamiętne straszenie ich klapsami. Dziś poznański krytyk nie jest już osamotniony w walce z inteligentnymi elitami opozycji. Należy go jednak wyodrębnić z ulicznego towarzystwa polityków, którzy czując koniunkturę, ochoczo szarżują na profesorów, doktorów, byłych „korowców” i ekspertów. Swoją drogą ciekawe, czy autor myśli czasem o tym, że jego „ideał sięgnął bruku”, czy też dumny jest jedynie z powodu swych spełnionych prorocत्व o „ojcach frustracji”, nie rozpoznających swoich dzieci? „Ojcowie frustracji” to polityczni sojusznicy Mazowieckiego, czyli: inteligentki areopag dawnej opozycji.

O co chodzi w walce Grupińskiego z intelektualistami? O nowoczesną, europejską, otwartą i tolerancyjną Polskę, o różnorodność i niezależność życia umysłowego, o śmiałość myśli równą odwadze cywilnej niektórych opozycjonistów. Nie jest to oryginalne. Wszak większość tych, których krytykuje niezłomny polemista, opowiada się za tym samym. Dlaczego zatem mamy wierzyć, że w jego wypowiedziach brzmi świeżo, ożywczo i wiarygodnie to samo, co wydaje mu się frazesem w artykułach np. Michnika? Albo: dlaczego aprobejuje i niemal patetyzuje własną zdolność krytycznego sądu, a dostrzeżoną u innych — od razu piętnuje. Charłamp i Spectator, Surdykowski i Wolicki, „Wezwanie” i „Res Publica” wydają mu się czasem sojusznikami w boju, ale co z tego? Kogo nie mógł (jak wymienionych powyżej) skrytykować za uchylanie się od myślenia i sądzenia, tego dalejże batożyć za... „nową Pinową modę — krytyczną swobodę”, czyli za to, że ośmieszony przez autora za swą intelektualną nijakość Pin jednak „proszę, wręcz na odlew, i w lewo, i w prawo, i to jeszcze jak — m y ś l i!” Więc dobrze to czy źle, że myśli? To nie jest ważne. Chodzi wszak o to, by napisać takie właśnie zdanie.

Pamflet to sztuka efektownego, a nawet efekciarskiego pisania, przepraszam — flekowania przeciwnika, któremu z założenia nie przyznaje się żadnej racji. Poszukując efektów, poznański polemista nie zauważa pułapek własnych myśli, w które raz po raz wpada, choć zastawione zostały na szkodę innym. Krytykuje np. rewizjonistów (tzn. duchowych spadkobierców Leszka Kołakowskiego) za to, że nieustannie grzebią się w przeszłości oraz „uwielbiają uprawiać manicheizm pojęciowy, są prawdziwymi ministrantami dychotomii”. Nie spostrzega jednak, że sąd ten jest także wdzięczną samokrytyką. Wszak tytuły Grupińskiego to wręcz bezwstydną parada dychotomii: *Nowe idee i stare wyobrażenia*, *Frazes i czyn*, *Recht i kumkanie*, *Kolaboracja czy insurekcja?* Co więcej, autor o żadnej uważanej przez siebie za pozytywną wartości nie potrafi pisać inaczej niż ukazując jej zaprzeczenie. Tak więc zwolennik reinter-

pretacji analizuje przede wszystkim błędy rewizjonizmu; tak więc orędownik sprawiedliwości politycznej dla tych, co są za insurekcją, rozważa i rozlicza straszne grzechy kolaboracji. Apelując o śmiałe myślowe wizje przyszłości, nieustannie zwraca się ku bliższej lub dalszej przeszłości. Okładka książki, prezentująca dwóch dżentelmenów dosiadających strusi, przypomina styl polemik „szyderców” z lat sześćdziesiątych. Mnie kojarzy się z wczesnym Mrożkiem albo z pierwszą amatorską inscenizacją *Ślubu* Gombrowicza. Toteż więcej w niej nostalgii, jak w każdym zresztą pastiszu, niż drapieżnej karykatury, o którą zapewne chodziło grafikowi i pamfleciście. Wytycane przez Grupińskiego polemiczne zarzuty wobec elit są także — w większości — powtórzeniem tej samej od ponad wieku listy grzechów i zaniedbań. Gdy czytam ironiczne uwagi o „stróżach imponderabiliów”, ich „szlachetnych deklaracjach” i nieobecnej odwadze intelektualnej („pomyłono kategorię sprzeciwu ze śmiałością myślenia”), gdy wpadają mi w oczy zdania (szydercze, oczywiście) o Sprawie, nowej literaturze martyrologicznej („stos makulatury o parzeniu herbaty i zakulisowych sporach doradców”) czy „efektownych, skrojonych według najnowszej mody płaszczach pokutnych opozycyjnych intelektualistów lat osiemdziesiątych — mam wrażenie, że czytam niezmiennie ten sam krytyczny tekst: od Mochnackiego po Gombrowicza i Mrożka. Świadczy to chyba nie tylko o tym, że Polacy aż do znudzenia powielają swoje anachroniczne pozy cierpiętnicze i uparcie pozostają głusi na wezwania zmieniającego się czasu. Oznacza to bowiem również zużycie języka krytyki, od stulecia posługującego się tym samym wzorcem antybohatera: szlachecko-inteligenckiego konserwatysty (w sensie psychicznym raczej niż politycznym), zapatrzonego wyłącznie w swój narodowy (zaściankowy i prowincjonalny) grajdoł, megalomana tym większego, im więcej cywilizacyjnych kompleksów ma do ukrycia przed światem.

Nie twierdzę wcale, że taki typ nie istnieje, ani że nie należą mu się słowa krytyczne lub prześmiewcze. Literacki styl cierpiętniczo-martyrologiczny, „redukcja nacjonalistyczna” czy wyszydzone przez Grupińskiego „płaszczki pokutne” są raczej folklorem zniewolonego narodu. To było i będzie, zwłaszcza w okresach zagrożenia. Lecz dlaczego głównym winowajcą tego stanu ma być tylko inteligencki „stróż imponderabiliów” — i to taki, którego wina (tak wyłączna i bezdyskusyjna, jak ukazuje to krytyk) wydaje się co najmniej problematyczna?

Kimże bowiem jest ów „stróż imponderabiliów”? To zbiorowy autor (i bohater) więziennych wspomnień o „parzeniu herbaty”, to Jerzy Turowicz organizujący w Krakowie spotkanie intelektualistów oraz sygnatariusze apelu ogłoszonego po tym spotkaniu, to wreszcie, wedle autora, bliżej nieokreśleni kolaboranci, asekuranci, „profesorska opo-

zycja” oraz uzurpatorzy idei „Solidarności” popierający Mazowieckiego. Dlaczego tylko oni? Za karę, gdyż nie zaproponowali żadnej wizji przyszłości, poza kompromisem z komunistami. Kompromis (notorycznie i taktycznie mylony z kolaboracją) nie jest oczywiście programem politycznym, lecz wyrazem strachu przed „zdecydowanym działaniem”, „przed stawianiem wszystkiego na jedną kartę”, tzn. przed próbą sił, którą dopuszczał Grupiński w roku 1988 — chyba jednak tylko w abstrakcyjnych słowach, gdyż brak jakichkolwiek innych konkretów, poza wspomnianym kilkakrotnie niezadowolaniem strajkujących robotników i zapalem chłopców z „Solidarności Walczącej”. Czy Rafał Grupiński uważał to za potencjał zdolny zapewnić zwycięstwo? — nie dowiemy się, gdyż uchylił się od odpowiedzi. Nie sprecyzował też, w jaki sposób sformułowana przezeń idea „okrągłego stołu” opozycji, poprzedzającego porozumienie opozycjonistów z komunistami, miałyby uchronić naszą scenę polityczną przed frustratami i przypadkowymi demagogami. Chciałabym jednak — skoro bezkompromisowy autor tak łatwo zarzuca swym przeciwnikom myślowy niedowład i brak wizji przyszłości — aby sam przykładowo wykladał swe argumenty: jasno i, przede wszystkim, do końca, bez łatwizn i uników. W przeciwnym bowiem razie jego polemiki pozostaną efektywnym pustostowiem, mglistym, jak niedomyślane zdania o insurekcji, oraz intelektualnie nieefektywnym, jak ataki na martyrologię stanu wojennego. Dziwi mnie skądinąd fakt, że nie gustując w poważnych i liczących się pismach opozycji: „Krytyce” czy „Arce”, od czasu do czasu mimochodem poszturchiwanych, Grupiński nie zdobywa się na rzeczową z nimi polemikę, która mogłaby stać się sporem o nowoczesną, otwartą i niezależną myśl polską. Wszak pisma te, a z nimi „Res Publica”, po trosze „Wezwania”, późny i zupełnie odmienny „brulion” zdawały się prowokować do takiej dyskusji. Tym bardziej, że były one (z wyjątkiem „brulionu”) towarzysko powiązane z tymi grupami, które Grupiński atakuje najbardziej. Eklektyczne i wtórne (a przy tym do zaudzenia „słuszne”) „Zeszyty Literackie”, wyszydzone przez polemistę, to temat dobry do wygłoszenia paru dowcipów o pretensjonalności polskich Europejczyków, ale nie wystarczający, by wypełnić dyskusję o polskim życiu umysłowym — tak „totalną”, jakiej domaga się nieustannie.

Dziedziniec strusich samiec jest książką odważną, pisaną w porywie, sprawiedliwego często, gniewu: na polityków, dawne elity opozycji, Kościół. Mogła to być książka o historycznym wyczerpywaniu się intelektualnego potencjału polskiej inteligencji, bo w gruncie rzeczy tak należałoby określić niektóre postaci naszej niemożności opisane przez autora. Stała się jednak zbiorem pamfletów na tych, którzy, moim zdaniem, najmniej zawinili. Trudno przecież postronnemu obserwato-

rowi uwierzyć w to, że dziedziniec strusich samic: przestrzeń nieracjonalnych, narodowo-cierpiętniczych póż i ściganych chimer przeszłości — jest odpowiednim miejscem dla Turowicza czy Michnika. Wszak to ci, którzy potrafili — i wciąż potrafią — „myśleć i działać na dal”, jak pisał kiedyś Berent. Więc może jednak to nie tylko „ojcowie frustracji” (już zresztą w tej funkcji zastąpieni przez sukcesorów), ale przede wszystkim siewcy wartości nie mających nic wspólnego ze strusią polityką.

Lidia Burska

Sztuka syntezy

Polonistyczny księgozbiór podręczny wzbogaca się ostatnio o nowe słowniki, encyklopedie, podręczniki i syntezy historycznoliterackie. Kolejne tomy różnych serii — a wśród nich na miejscu pierwszym „Vademecum Polonisty” — ukazują się teraz dość regularnie. Oby tylko ów rytm wydawniczy udało się zachować i przywrócić go innym przedsięwzięciom edytorskim o długoletniej tradycji, od dawna bezskutecznie czekającym na druk!

Sięgając po pozycje z tego zakresu, warto uzmysłowić sobie, że stanowią one dokument szczególny, świadectwo perfekcyjnej systematyczności, z jaką zespoły autorskie, redakcyjne i opiniotwórcze wypełniały podjęte przed laty ważne, a zarazem niezwykle mozolne zadania. Tego rodzaju gatunki piśmiennictwa literaturoznawczego powstają z osobliwego przymusu, wpisanego w kodeks profesji akademickiej, czemu dał wyraz Jerzy Ziomek, redaktor dzieła zbiorowego *Dzieje literatury polskiej. Synteza uniwersytecka*. W okresie krystalizacji wstępnego projektu tej pracy z naciskiem podkreślił: „Jest to może prawda banalna, ale warta powtórzenia, że każde pokolenie musi mieć swoją historię literatury”¹. Wiadomo, że nie była to mimochodem rzucona glosa znakomitego uczonego, historyka literatury, teoretyka i badacza doktryn literaturoznawczych, lecz wyznanie i wyzwanie postawione — nie po raz pierwszy — samemu sobie. A równocześnie — zaproszenie, skierowane do wybitnych znawców epok literackich, należących do pokolenia autora *Renesansu i Retoryki opisowej*. Przedstawiciele tej generacji historyków

¹ J. Ziomek *Metodologiczne problemy syntezy historycznoliterackiej*, w: *Problemy metodologiczne współczesnego literaturoznawstwa*, red. H. Markiewicz i J. Sławiński, Kraków 1976.